

NOWA PRÓBA SYNTEZY ROZWOJU SPOŁECZNEGO *

Książka Wł. Bieńkowskiego rozczarowała felietonistę „Polityki” m.in. z powodu „legionu amerykańskich profesorów”, których autor cytuje, a często i gromi¹. Historyka nie odstrasza erudycyjny w pewnym stopniu charakter pracy, a zabierając głos w dyskusji nad nią może tym łatwiej, że erudycyjna strona opracowania dotyczy w głównej mierze dyscypliny bliskiej mu w klasyfikacji nauk, ale przecież odrębnej. Fakt ten daje mu prawo uchylenia się od oceny stosunku tez autora do socjologicznej literatury przedmiotu. Problematyka książki obejmuje przecież szeroki zakres, w którym historyk czuje się w każdym razie nie jak intruz. Zresztą stron kilka poświęca także W. Bieńkowski relacji historia-socjologia.

Autor wielokrotnie deklaruje się jako zwolennik teorii o wysokim stopniu ogólności. Za jedną z podstawowych przyczyn niedomagań nauk społecznych uznaje, co stwierdza nie raz jeden, preferencję teorii „średniego zasięgu”, występującą u wielu współczesnych badaczy. Nie pozostaje w tym wypadku w sferze rozumowań naukoznawczych, ale sam prezentuje formuły, mogące (jak należy rozumieć) stanowić załączek najogólniejszej teorii społeczeństwa i jego rozwoju. Wprawdzie w pierwszych zaraz słowach wstępu pisze autor, że pragnął przede wszystkim dokonać analizy niektórych teorii w naukach społecznych, a „propozycje uogólnień, które wydają się autorowi zasługiwać na trud weryfikacji” są jedynie „ubocznym niejako produktem”. Wydaje się, że autor przypisuje temu ubocznemu produktowi podstawowe znaczenie, on to właśnie przede wszystkim interesuje czytelnika. Zresztą w praktyce autor poświęca wiele miejsca pozytywnym formułom i ich dyskusji. W części pierwszej pracy Wł. Bieńkowski formułuje przede wszystkim „prawo petryfikacji” oraz „prawo ekonomii wysiłku”, w drugiej zaś rozwija charakterystykę „instytucjonalizacji jako procesu petryfikacyjnego” oraz problem konfliktu jako źródła zmian społecznych i kilka innych zagadnień związanych z pojęciem rozwoju.

Ambicje tworzenia teorii funkcjonowania społeczeństwa czy rozwoju społecznego bynajmniej nie wygasły w naszych naukach społecznych. Wystarczy dla lat ostatnich wspomnieć prace J. Hochfelda, Z. Baumana, a na innej płaszczyźnie — A. Malewskiego, który podjął nawet próbę teoretycznego opracowania pożądanej struktury teorii społecznych. Mimo to każda kolejna próba sformułowania zrębów ogólnej teorii, zwłaszcza dobrze ugruntowanych w materiale historycznym, będzie zawsze budziła zainteresowanie, nie tylko socjologów.

Autor słusznie uwydatnia trudności, towarzyszące formułowaniu teorii naukowych w naukach społecznych. Diagnoza, jaką stawia Wł. Bieńkowski, nie wydaje się nam zupełnie ścisła, a ostatecznie od tej diagnozy zależą środki, jakie należy przedsięwziąć, by otrzymać zadowalającą teorię społeczną. Rzecz chyba nie polega na tym, że od teorii społecznych żąda się bezzasadnie „jakieś intuicyjnej adekwatności”, lecz że mniejsza lub większa liczba danych empirycznych wydaje się podważać każdą z dotychczasowych teorii. W ogóle zaś „nauka o społeczeństwie” jest na razie nazwą pustą. Dotąd poszczególne dziedziny wiedzy o społeczeństwie poruszają się w odrębnych, niezupełnie przekładalnych sferach, nie z powodu ograni-

* Wł. Bieńkowski, *Problemy teorii rozwoju społecznego*. Warszawa 1966, ss. 262.

¹ M. Radgowski, *Lotne piaski konserwatyzmu*. „Polityka” nr 4(507) z 28 I 1967.

czoności swych adeptów, czy braku wysiłków „integracyjnych” z ich strony, ale z braku jednolitej teorii społecznej. Ta zaś powstać — jak dotąd — nie może właśnie z powodu owej nieprzekładalności. Autor wspomina o podziale nauki o zjawiskach społecznych między fizjologię (?), psychologię, socjologię (s. 43. Można by dodać jeszcze inne dziedziny wiedzy, zwłaszcza historię!), ale widzi tu tylko „brak współpracy”. Pozostawmy na boku ewentualne wnioski metodologiczne, a nawet ontologiczne, płynące z takiego stanu rzeczy. Stwierdzimy tylko, że w tej sprzeczności widzimy główną przyczynę braku zadowalającej teorii społecznej.

Autor książki omawiając pozytywistyczny ewolucjonizm upatruje główny jego błąd w przenoszeniu zasad ewolucji przyrody na rozwój społeczeństwa. Wyjaśnienie istoty rozwoju społecznego wymagałoby jednak ustalenia czynnika decydującego o zmianach społecznych. Autor oczyszcza teren poddając krytyce założenia teorii upatrujących ten czynnik w jednostce, jej biologii i psychice, oraz teorię imitacji G. Tarde'a.

Rzeczą historyka byłaby weryfikacja tez teorii rozwoju społecznego przy pomocy materiału historycznego. Wydaje się jednak, że proponowane formuły mają braki typu metodologicznego, wobec czego polemika musi toczyć się wokół tych braków, zanim można by przystąpić do weryfikacji historycznej.

Podstawowa koncepcja autora, to problem „petryfikacji form społecznego działania”, jak brzmi tytuł rozdziału III. „Jeśli zachowanie jednostki w procesie kształtowania indywidualnego systemu odruchów warunkowych ulega «zamrożeniu», zjawisko to w znacznie silniejszym stopniu dotyczy wzorców zachowań obowiązujących grupę społeczną (...) mamy tu do czynienia z fundamentalnym prawem społecznego rozwoju — prawem petryfikacji form społecznego działania” (s. 57—58).

Autor wykazuje niemałą odwagę, formułując nie tylko „prawo społecznego rozwoju”, ale wręcz „fundamentalne prawo”. Historia nauk społecznych każe nam raczej ostrożnie podchodzić do problemu formułowania praw obowiązujących we wszystkich stadiach ewolucji społeczeństw. Tym bardziej, że autor nie ustosunkował się do wielu problemów, jakie nasuwa pojęcie prawa w naukach społecznych, a szczególnie pojęcia „prawa rozwoju społecznego”. Wracając jednak do samego „prawa petryfikacji” zauważymy, że autor nie uzasadnił szerzej stosowności owego prawa do różnych społeczeństw w różnych okresach rozwoju, co dopiero dałoby temu uogólnieniu znaczenie zbliżone do pojęcia prawa. W tym, co autor rozumie pod nazwą petryfikacji, wyróżnić można trzy zagadnienia: a) utrwalenie się wzorów zachowań, b) wynikająca stąd ich obiektywizacja i nadanie formy umożliwiającej przekazywanie (np. kolejnym pokoleniom), co warunkuje ich funkcjonowanie jako elementów kultury oraz c) inercja zobiektywizowanych wzorów. Zauważymy od razu, że zjawiska określone pod a) i b) odpowiadają po prostu procesowi tworzenia się kultury (w dość szeroko przyjętym znaczeniu tego słowa). O petryfikacji, posiadającej ujemną konotację (która chyba nie może dotyczyć hurtem całej kultury?) mówić można dopiero przy rozpatrywaniu zjawiska inercji. Intuicyjnie zgadzamy się z autorem co do istnienia takiego zjawiska, lecz jego oświetlenia zarówno w tym miejscu, jak i w rozdziale poświęconym instytucjonalizacji nie znajdujemy. Przy tym niezbyt przekonujące wydają się nam zapewnienia autora, że inercja ta we współczesnych społeczeństwach — rewolucjonizujących się przecież — działa tak samo, jak w pogrążonych w pozornym bezruchu niektórych społeczeństwach historycznych. W każdym razie zjawisko inercji elementów kultury nie powinno być mieszane z tworzeniem się i obiektywizacją wzorów zachowania się, samo zaś jako nie typowe specjalnie dla tego odcinka otaczającego nas świata nie zasługuje chyba na podniesienie do rangi fundamentalnego prawa rozwoju społecznego.

Warto zauważyć, że tłumacząc mechanizm utrwalania się społecznych wzorów zachowania się autor posłużył się analogią z wytwarzaniem się odruchów warunkowych u jednostki ludzkiej lub zwierzęcej i w ten sposób zdaje się naśladować potępianych przez siebie zwolenników przyrodniczego ewolucjonizmu (s. 53—54).

Niektórych czytelników razić też będzie niesłychanie silne podkreślenie heterogeniczności faktów społecznych wobec świadomości indywidualnej. Durkheim pisał, że są one (jedne wobec drugich) „*hétérogènes à quelque degré*” (podkr. moje J. Ż). Zastrzeżenie to jest przedmiotem krytyki autora posuniętej tak daleko, że zmuszeni jesteśmy zapytać, gdzie znajduje się zastrzeżenie, w której przebiewają „fakty społeczne”. Bardziej przejrzyste naszym zdaniem ujął sprawę tę Z. Bauman, pisząc, że „posiadane przez nas informacje o faktach związanych z procesem motywacji możemy organizować wokół różnych osi”, z których psychologiczna bierze za punkt wyjścia osobowość indywidualną, a kulturologiczna — sprzężenia międzyludzkie².

Nie mało wątpliwości nasuwa też drugie, sformułowane przez Wł. Bieńkowskiego prawo „ekonomii wysiłku”. Autor twierdzi, że „prawo ekonomii wysiłku jest najpierwotniejszą i najogólniejszą zasadą ludzkiego działania, z której biorą początek wszystkie inne formuły dyrektywy przystosowane do poszczególnych faz rozwoju ekonomicznej aktywności człowieka” (s. 79). W innym miejscu autor wyjaśnia, że „impuls, jaki powodował człowiekiem (czy jakim powodował się człowiek) skłaniając go do szukania lepszych sposobów zaspokajania swych potrzeb, wynikał z potrzeby zwiększenia efektów działania, powodowało nim to, co możemy nazwać *zasadą ekonomii wysiłku*” (s. 77).

Przed wszystkim „impuls”, to chyba *lapsus calami*, wygląda bowiem na jeden ze słusznie wyśmiewanych przez autora „instyktów”, „potrzeb” czy „motywów”. Po odrzuceniu biologicznego wyjaśniania zjawisk społecznych należałoby wspomniany „impuls” wyprowadzić z organizacji społecznej. Ale o to mniejsza. Gorzej, że autor ani logicznie ani empirycznie nie stara się uzasadnić twierdzenia, zgodnie z którym wspomniane „prawo ekonomii wysiłku” jest „najpierwotniejszą i najogólniejszą zasadą ludzkiego działania”. Prosta refleksja prowadzi do wniosku, że zasada ekonomii działania musiałaby być podporządkowana samej zasadzie działania a więc wynikać z celów działania. Zasada ekonomii działania mogłaby co najwyżej wynikać z jakiegoś „prawa ulepszenia” czy „postępu”, gdyby nam przyszła do głowy niefortunna myśl formułowania takiego prawa.

Sam autor ma wątpliwości co do powszechności działania swego prawa. W przypisie (s. 78—79) zaznacza, że „w gospodarce pierwotnej, zanim rozwinięte stosunki społeczne nie stworzyły wymiany i innych form gromadzenia efektów pracy (kapitał) człowiek nie był zainteresowany w wytwarzaniu większej ilości produktu niż ta, która wystarczała dla zaspokojenia bezpośrednich potrzeb”. Ową „gospodarkę pierwotną” należałoby rozciągnąć — bagatela — na wszystkie przedindustrialne sposoby produkcji, w tym również na niektóre współczesne społeczeństwa z tym zastrzeżeniem, że wymiana istniała od tysiącleci i że znano różne inne, niż kapitalizacja, formy gromadzenia efektów pracy. Dziś jeszcze narzeka się na rzekome „leniwość” chłopów czy robotników niektórych krajów postkolonialnych, płynące z pozostałości odrębnego typu organizacji społecznej, operującego innymi niż „nasz” systemami wartości³. Jest tu też co prawda swoista i skrajna „ekonomia wysiłku”, gdy kandydat na robotnika wybiera bezczynność nad opłacaną pracę, a w każdym razie nie chce pracować, gdy tylko zaspokoił głód. Ale nie o taką ekonomię wysiłku chodziło autorowi, lecz o taką, która — na odwrót — prowadzi do rozszerzenia

² Z. Bauman, *Kultura a społeczeństwo. Preliminaria*. Warszawa 1966, s. 21.

³ Zob. polemikę w sprawie oceny tych zjawisk: W. Kula, *Problemy i metody historii gospodarczej*. Warszawa 1963, s. 724 nast.

zakresu działalności, zwiększenia jej efektów. Fakt, że „prawo ekonomii wysiłku” nie ma charakteru powszechnego wystarczy, by pozbawić je rangi prawa, sprowadzając co najwyżej do roli ograniczonej przestrzennie i czasowo generalizacji historycznej.

Wreszcie „prawo ekonomii wysiłku”, jeśli nawet ma zastosowanie do określonych epok czy społeczeństw, to jako zasada niejako odświętna. Tak wynikałoby z interesujących rozważań autora na temat zachowań nowatorskich. Zachowania te, które nie znalazły jeszcze wyjaśnienia teoretycznego, są czymś raczej rzadkim i wyjątkowym. A one właśnie byłyby głównymi manifestacjami „zasady ekonomii wysiłku”. W życiu codziennym przeważa raczej albo postępowanie regulowane stereotypem, albo — w lepszym przypadku, w niektórych społeczeństwach — wybór spośród zamkniętej liczby wariantów stereotypu. Wspomniana zasada byłaby więc wyjątkiem, nie regułą. Te i wiele innych pominiętych tu argumentów nie pozwalają uznać wygłoszonej przez autora zasady ani za prawo rozwoju społecznego, ani tym bardziej za „najpierwotniejszą i najogólniejszą zasadę ludzkiego działania”. Warto by też zastanowić się, czy ta podstawowa zdaniem autora zasada ogranicza się tylko do techniki i jak ewentualnie przedstawiałyby się w pozaprodukcyjnej działalności człowieka, np. w zakresie myślenia i jego form.

Nawiasem mówiąc ogromne rozszerzenie przez autora zakresu „petryfikacji” stereotypów działań czyni zachowania nowatorskie — a wraz z nimi wszelki rozwój — prawie niemożliwe teoretycznie, co przemawiałoby dodatkowo przeciwko „prawu petryfikacji” w tak szerokim i radykalnym ujęciu. Ponadto zastrzeżenie budzi rozpatrywanie „nowatorstwa” wyłącznie jako pochodzącego od jednostki, która ewentualnie może *post hoc* uzyskać poparcie jakiejś grupy społecznej. Takie milczące założenie nie może — naszym zdaniem — przyczynić się do wyjaśnienia sprawy i pozostaje w sprzeczności z faktami np. dotyczącymi niektórych ruchów społecznych, reformatorskich itp.

Na zakończenie rozważań o prawach rozwoju społecznego autor stwierdza, że oba te prawa to „logiczne następstwo naturalnego dążenia do zaspokojenia potrzeb”. Ciekawe byłoby dowiedzieć się czegoś o tym „naturalnym dążeniu”, które to sformułowanie budzi znów wątpliwości podobne do sugerowanych przez „impuls” (przy „zasadzie ekonomii wysiłku”). Tak czy owak musiałyby to być dążenie skłaniające do sformułowania prawa wyższego rzędu niż określone jako „fundamentalne” prawo petryfikacji czy „najpierwotniejsza” zasada ekonomii wysiłku.

W książce Wł. Bieńkowskiego poruszono wiele najbardziej istotnych i kontrowersyjnych zagadnień ogólnej teorii społeczeństwa i rozwoju społecznego. Nie możemy zająć się wszystkimi, wybieramy zatem z tej problematyki „proces instytucjonalizacji”, który dał tytuł VI rozdziałowi. W ujęciu autora powstawanie wszelkich instytucji życia społecznego jest właściwie tym samym, co proces petryfikacji. Przede wszystkim jednak autor rozszerza niepomiarne pojęcie instytucji. Oto, jak J. Szczepański zestawia wspólne cechy różnych definicji instytucji: „Są one [instytucje] zespołem urządzeń, w których pewni ludzie, wybrani członkowie grup, otrzymują uprawnienia do wykonywania czynności określonych publicznie i impersonalnie, dla zaspokojania istniejących potrzeb jednostkowych i zbiorowych i dla regulowania zachowań innych członków grupy”⁴. Tymczasem Wł. Bieńkowski zalicza do kategorii instytucji nie tylko zorganizowane grupy osób, albo urządzenia materialne i środki działania, czy wreszcie związane z konkretnymi osobami czy podgrupami role społeczne, ale także — jak należy rozumieć — idee, obyczaje, wierzenia, poglądy, wzory myślenia (s. 128). Z jednej strony zresztą pisze autor (s. 120), że w szerszym, przezeń użytym pojęciu „instytucją jest każdy obyczaj, o ile dla da-

⁴ J. Szczepański, *Elementarne pojęcia socjologii*. Warszawa 1965, s. 111.

nego zespołu ludzkiego jest obowiązujący”, z drugiej zaś (s. 118), że „zjawisko staje się instytucją, kiedy przybiera organizacyjne formy, kiedy staje się stowarzyszeniem ludzi tym formom podporządkowanych”. Czy więc obyczaj jest instytucją, czy raczej zespół jego wyznawców, i to posiadający organizację? Pozostajmy jednak przy najszerszym ujęciu instytucji, za którym w końcu (s. 120) autor się opowiada. Znowu musimy skonstatować, że tak rozumiane instytucje wyczerpują pojęcie kultury, a zatem wszystko, co orzec możemy o instytucjach, możemy też orzec o kulturze, i *vice versa*. Tak szerokie znaczenie pojęcia instytucji w terminologii autora sprawia, że staje się ono bezużyteczne. Gdy autor utożsamia petryfikację z instytucjonalizacją, możemy do tego ostatniego procesu odnieść te wszystkie zastrzeżenia, które przedstawiliśmy wobec „prawa petryfikacji”. Nadto chyba warto zauważyć, że proces wytwarzania się instytucji i inercyjny opór, stawiany przez nie zmianom społecznym, nie przebiega tak samo w instytucjach politycznych, jak w ekonomicznych, w kulturalnych czy towarzyskich, jak w religijnych, czy w „instytucjach” czysto moralnych. Zestawienie instytucji takiej, jak sąd państwowy, z „instytucją” typu poglądów na pożądany deseń krawata wskazuje od razu, że nie można o obu tych instytucjach jednocześnie orzec czegoś innego, niż banalne ogólniki.

Koncepcja, którą autor przedstawia odnośnie do dynamiki zmian instytucji jest, naszym zdaniem, niezupełnie wystarczająco uzasadniona. W myśl tej koncepcji instytucje mogą zmieniać się w kierunku zgodnym z impulsami, płynącymi np. od rozwijającej się techniki produkcji (ale czy ta nie zawiera elementów zinstytucjonalizowanych?) tylko drogą oddziaływania „zewnętrznego”, drogą rewolucji. Drugi rodzaj zmian, który autor nazywa „ewolucją” (?), to własna dynamika rozwoju instytucji, którą traktuje jako wyłącznie pasożytnicza, więc negatywną. „Ewolucja” owa polega na „rozdrabnianiu struktury społecznej”, narastaniu elementów rytuału, sakralizacji i po prostu na rozroście instytucji.

Skoro mowa o inercji czy „petryfikacji”, to trzeba zauważyć, że szybkość zmian instytucjonalnych należy rozpatrywać w skali historycznej, w której nasza niecierpliwłość, jak pisał Marks, nie jest argumentem teoretycznym. Jeśli porównamy szybkość zmian instytucji w naszych czasach i w epoce przedpaństwowej dojdziemy do wniosku, że elastyczność dynamiki instytucjonalnej jest wcale niemała. Odmówienie instytucjom wszelkiej plastyczności szczególnie jaskrawie sprzeczne jest z naszym doświadczeniem współczesnym. W szczególności „instytucje” obyczajowe i instytucje funkcjonalne typu nieformalnego ulegają w naszych czasach właśnie szybkim zmianom. Nie należy też sugerować się tożsamością nazwy, gdy funkcja ulega zmianom, a o treść przecież chodzi. Przykłady: senat II i I w. i późnego cesarstwa; szlachectwo w XVII w. i w dobie międzypowstaniowej; ród za Mieszka I i za Jagiellonów; imperium brytyjskie za królowej Wiktorii i w latach 60 XX w.; zysk przedsiębiorstwa przed wojną i obecnie itd. itp.

Koncepcja samoistnego rozwoju instytucji jest interesująca. Należałoby wyjaśnić co prawda, jakie siły powodują tego rodzaju samoistny rozwój. Jak instytucje, będące w ujęciu autora skamienieliną (petryfikacja!) mogłyby się zmieniać same przez się, mocą jakiejś wewnętrznej logiki? W tym przypadku koncepcja petryfikacji raz jeszcze wykazałaby nieprzydatność. Jeśli przyjmiemy samoistną ewolucję instytucji, nie możemy doszukać się argumentów, ograniczających ją do cech negatywnych, chciałoby się rzec nowotworowych. Wydaje nam się, że np. pewne aspekty rozwoju nauki mogą być przykładem samodzielnego rozwoju instytucji w kierunku „postępowym”, a wcale nie w kierunkach „pasożytniczych”, nakreślonych przez autora.

W ogóle „pozytywną” dla społeczeństwa rolę instytucji jako dźwigni nowego autor pozostawił zupełnie w cieniu. Rola ta widoczna jest zwłaszcza w ramach

zjawiska dyfuzji kultur. Przykłady można by mnożyć: wprowadzenie chrześcijaństwa do Polski, kodeks Napoleona w Polsce, wprowadzenie zespołu instytucji europejskich przez rewolucję Meidźi w Japonii a rozwój jej ekonomiki itd. Wszelka dyfuzja, której autor przyznaje słusznie wielką rolę w rozwoju jest przecież przekazywaniem i przejmowaniem nie doświadczeń indywidualnych, lecz „spetryfikowanych” wzorów czyli instytucji (w terminologii autora). Odgrywają one najczęściej rolę nie hamulca, lecz właśnie stymulatora rozwoju.

Z braku miejsca nie możemy omówić innych problemów, wśród nich zagadnienia fazy rozwoju społecznego a „petryfikacji” (s. 152, dopatrujemy się tu sprzeczności), progę, od którego rozpoczął się rozwój współczesnego społeczeństwa (sc. reprodukcja rozszerzona, s. 160 — niejasna jest tu rola rewolucji politycznej), rozwoju i upadku kultur oraz wielości kierunków rozwoju społeczeństw, konfliktu i zgodności, „konfliktowości struktury” (s. 232 — o ile to *contradictio in adiecto*?). Nie można przy okazji nie wspomnieć o nowym artykule autora zamieszczonym w „Kulturze i Społeczeństwie”⁵, a zawierającym dyskusyjne zresztą próby ujęcia determinizmu w naukach społecznych.

Na zakończenie podnieść należy, że autor wypowiada się po stronie tych socjologów, którzy nie odcinają się od historii, ale chcą przepoić socjologię materiałem historycznym. Jest to logiczna i konieczna konsekwencja chęci zbudowania ogólnej teorii rozwoju społecznego, która bez historii obejść się nie może.

Powyższe uwagi obracały się wokół spraw w pracy Wł. Bieńkowskiego dyskusyjnych i budzących sprzeciw. Nic dziwnego, że książka, która atakuje frontalnie prawie wszystkie podstawowe problemy nauki o społeczeństwie, a czyni to na 11 arkuszach wydawniczych, nie może w szerszej mierze zająć się egzemplifikacją wygłaszanych tez, a nawet ich obszerniejszym uzasadnieniem. Ale taka wstępna prezentacja tez jest też potrzebna i pożyteczna. W książce Wł. Bieńkowskiego znajdujemy wiele cennych i świeżych spostrzeżeń, krytycznie ujął też autor wiele opracowań socjologów, zwłaszcza amerykańskich (tę warstwę pracy pominieliśmy w ogóle). Może zbyt wielką awersję czuje Wł. Bieńkowski do teorii „średniego zasięgu”. Czy można wyłączyć, że przez nie właśnie wiedzie droga do syntezy, jeśli ta ostatnia w ogóle jest możliwa? W każdym razie tak bardzo ambitna — i nic dziwnego, że w szerokim zakresie sporna — próba doprowadzenia do syntezy zasługuje na uznanie.

⁵ Wł. Bieńkowski, *Determinizm w naukach społecznych*. „Kultura i Społeczeństwo” 1966, nr 4.